

J Ó Z E F B I Z O Ń

Wspomnienia z lat 1914 - 1946

+ LX
Andrzej Lisiecki 81

O Bizoniu Józefie dowiedziałem się przypadkowo, odwiedzając członków ZBoWiD-u Koła Gminnego w Swidnicy, będących w podeszłym wieku. Wprawdzie nie był on członkiem naszego Koła, ale słyszałem, że ma bogate przeżycia i chętnie opowiada. A ma o czym mówić, gdyż ukończył już 86 rok życia i ma jeszcze doskonałą pamięć. Gdy przedstawiłem się, kim jestem, zaufał mi i tak rozpoczął:

Urodziłem się 17 II 1896 r. we wsi Targanice, która znajduje się przy szosie prowadzącej z Andrychowa do Żywca. Nauczyciel nam mówił, że tą drogą król Jan Kazimierz w czasie najazdu szwedzkiego wracał ze Śląska do Krakowa. Rodzice moi gospodarowali na pięciu morgach tzw. szczyrku tj. piasku z drobnymi kamykami. Jeden morg austriacki równał się 56 arów. Obornik wynosiliśmy na stromiznę koszykami, gdyż wozem nie wyjechał. Skibę gdy orało się, trzeba było trzymać, aby z powrotem nie wracała, gdy odkładać się miała pod górę.

Szkołę siedm^oklasową podstawową ukończyłem w roku 1908 jako pierwszy z kolegów, a z dziewcząt najlepszą była Kasia Bylica. Na zakończenie roku szkolnego nauczyciel Józef Hencel-Słazak kazał mi nauczyć się na pamięć wiersz pod tytułem "Przyszli cudzoziemcy ludzie innej wiary". Pamiętam go do dzisiaj, posłuchajcie:

Przyszli cudzoziemcy ludzie innej wiary,
sprzedaj chłopie rolę, będziesz miał talary.

Zapłacimy chatę, zapłacimy pole,
będziesz miał talarów na całutkim stole.

A mój panie miły, idź gdzie chcesz sobie,

bo ja swojej roli za nic nie dam tobie.

Schowaj swe dukaty i białe talary,

kto ziemię sprzedaje, nie naszej jest wiary.

Chcesz kupić ode mnie i rolę i pżoty,
a kto mi zapłaci ten miesięczek złoty?
A kto mi zapłaci za tę jasność Bożą?
co w moje okienko idzie z każdą zprzą?
Za ten dach słomiany, co mi głowy strzeże,
za ten dzwon, co dzwoni rankiem na pacierze?
Za ten piasek biały, gdzie się bawią dzieci,
za tego skowronka, co nad głową leci?
Za wiosenny klekot naszego bociana,
za piosnkę pastuszków "Oj dana, oj dana"?
A kto mi zapłaci za kościółek boski,
w którym co niedzielę Bogu składam troski?
Za tę grubą lipę przy wiejskim kościele,
za tę gruszę polną, co długi cień schiele?
Za cmentarz przy farze, zielony jak sady,
gdzie leżą w swych grobach ojcowie i dziady?
A toż to i mnie wnet tam miejsca potrzeba,
gdy Pan Bóg zawoła "Chodź człeku do nieba".
Nie sprzedam ci ziemi, weź swoje talary,
kto ziemię sprzedaje, ten nie naszej wiary."
Gdy skończył deklamować, opowiadał dalej: "Rodzice moi mieli dzie-
sięcioro dzieci. Z tego wyżyło nas czterech chłopców i dwie dziew-
czynki. A dziadek mój miał 17 synów i 7 córek. Brał udział w powsta-
niu styczniowym 1863 roku. Z naszej wioski poszło z nim do powstania
czterech.

W domu ojca trudno było wyżywić i ubrać tak liczną rodzinę. Dla-
tego, gdy odrosłem, wyjechałem z innymi na tzw. saksy tj. na sezo-
nowe roboty polowe do Niemiec. Wyjeżdżaliśmy pod koniec lutego, a wra-
calismy 22 grudnia, tak aby na święta Bożego Narodzenia być w domu.
Na robotach byłem w 1912, 1913 i 1914 roku. W tym ostatnim wyjechało
nas z Wadowic 50 osób.

Wysiedliśmy na stacji kolejowej, która nazywała się Bad-Bibra. Na stacji czekały już na nas wozy zaprzężone w wielkie grube konie i zawieźli nas do majątku. Pomieszczenie dla nas nazywało się kasarnia. Wokół budynku i dworu były zabudowania gospodarcze: obora dla 38 par wołów, trzech koni, jeden pod siodło dla administratora, a dwa do powozu. Dookoła zabudowań sad: śliwy, czereśnie. Odległość od majątku do stacji Bibra jak również do Nebra 4 km.

W lipcu zwoziliśmy siano z drugiego pokosu lucerny, gdy w południe nadleciał balon motorowy. Długie cygaro i osiadł na ściernisku za sadem czereśniowym. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn i weszli do mieszkania administratora. Za pół godziny opuścili je. Potem sterowiec przeleciał nad nami, woły złączył się cienia i szumu motoru, nagle skręciły, aż wywróciły wóz. Aufseher czyli ekonom, na pytanie nasze, kto to był, odpowiedział: To sam konstruktor tej maszyny, graf Zeppelin. A ten majątek to jego własność.

W dniu 1 VIII 1914, w samo południe, przyjechał na spienionym koniu żandarm w pikelhaubie. Stał pod oknem administratora i wręczył mu kopertę. Zasalutował i z kopyta udał się w drogę powrotną. Nie minęło i pół godziny a stangret zaprzęgił konie i administrator wsiadł do powozu z żoną, która ocierała chusteczką oczy. Zaciekawilo nas to bardzo. Po jakimś czasie Aufseher ogłosił, że "nachmittags mamy frei", czyli wolne i możemy iść do Nebry, bo warto zobaczyć, co tam się dzieje. W szczęściu poszliśmy i co zobaczyliśmy? Długi zestaw wagonów kolejowych, umajonych wieńcami z liści dębowych. Na każdym wagonie podobizna cesarza Wilhelma i czarny jednogłowy orzeł, chorągiewki o barwach narodowych, afisze z napisem "Gott mit Uns!", "Gott strafe Serben! Hoch mit Osterreich und Deutschland! Nieder mit Serben und Rusland!". A wewnątrz Gasthausów śpiewy: "Deutschland, Deutschland uber alles in der Welt!". Wybuchła pierwsza wojna światowa.

Po niespełna 2 tygodniach zapowiedziano nam w południe, że możemy iść do tejże Nebry, bo o godzinie 13 zaczynając, przez 5 minut, wszystkie syreny parowozów i kopalni w całym Reichu będą uruchomione na

znak zdobycia belgijskiej twierdzy w Antwerpii. W oknach domów zobaczyliśmy widokówki przedstawiające żołnierzy niemieckich, rannych, klęczących u stóp krzyża. Koło godziny 16 ze szkół wyszły dzieci z lampionami i transparentami: "Niech zginie Serbia i Rosja!"

W dniu 30 listopada 1914 roku zwolniono nas z pracy i skierowano do rodzinnych domów. Na granicy bawarsko-sudeckiej w Mittelwalde pociąg zatrzymał się do wieczora. Czas ten wykorzystaliśmy na wymianę marek na austriackie korony w granicznym kantorze. W związku z tym przeżyliśmy pewnego rodzaju rozczarowanie, gdyż niemieckie marki, które mieliśmy w złocie i w srebrze, wymieniono nam na banknoty papierowe. W dalszą podróż udaliśmy się przez Wiedeń do Grazu, następnie do Leibnitz w Styrii, a stamtąd do wioski Wagna. Tam zastaliśmy już 28 baraków, a w nich ewakuowanych obywateli austriackich ze Lwowa, Krakowa i takich jak my z saksów.

9 grudnia odbyła się kontrola naszych Arbeitsbuchów. Ponieważ byłem w wieku poborowym, kazano mi brać moje manatki i udać się na plac pomiędzy barakami, gdzie było już zgromadzonych około 450 mężczyzn. Poprowadzono nas do Leibnitz, gdzie zostaliśmy umundurowani i po krótkim przeszkoleniu w mustrze i z bronią wysłano nas w okolice Kragujewar.

W kwietniu 1915 r. Włochy wypowiedziały wojnę Austrii. Przerzucano naszą dywizję do Włoch. Zanim zdążyliśmy się zorientować, jak nazywa się miejscowość, o którą walczyliśmy, już nas przerzucają na front wschodni pod Równe. Toczyliśmy walki z wojskami rosyjskimi pod Krzemieńcem o wieś Sapanów.

W czerwcu 1916 r. ofensywa generała Brusilowa nocno przerzedziła nasze szeregi. W wyniku walk znaleźliśmy się w okolicy Stanisławowa, skąd kolejną przerzucono nas do Czerniowiec, a dalej pieszo pod Fokszami. Tam znowu walki z Rumunami, a potem w ostrym pogotowiu, w związku z rewolucją w Rosji, aż do marca 1918 r. tj. do podpisania

traktatu pokojowego w Brzesciu Litewskim.

Gdy nastąpił rozpad monarchii Austro-węgierskiej, oficerowie Polacy zorganizowali transport kolejowy żołnierzy Polaków i wraz z całym sprzętem bojowym skierowali go do kraju, tj. na ziemię zamieszkałą przez naród polski. Gorzej powiodło się tym, którzy byli na froncie włoskim. Przejeżdżając przez terytorium czeskie byli obrabowani z całego sprzętu bojowego, a w niektórych wypadkach nawet z mundurów. Bratu mojemu na przykład zabrali dobry płaszcz, a dali pokrzwawiony.

W rodzinnym domu odpoczywałem od października do grudnia. Pobór do Wojska Polskiego ogłosił w niedzielę z ambony w kościele w Andrychowie ks. Kotarba.

5 grudnia zgłosiłem się do 12 pp. w Wadowicach, do którego miałem przydział. W armii austriackiej miałem stopień kaprała, gdyż znałem dobrze język niemiecki. Teraz otrzymałem stopień plutonowego. Byłem specjalistą od karabinów maszynowych i jako taki zostałem przydzielony por. Frorkiewiczowi do opracowania polskich nazw poszczególnych części KM.

W styczniu 1919 r. przyjechał do pułku por. Janikowicz. Zwerbował ochotników do walk z Ukraińcami. Zwerbował batalion wojska, w którym znalazła się i moja kompania KM. Dojechalismy do Chyrowa. Tutaj spotkaliśmy pociąg z wojskiem gen. Hallera, które składało się z Polaków mieszkających i pracujących we Francji. Zaopatrzeni byli we wszelki sprzęt bojowy, a nawet mieli artylerię. Na powitanie tego wojska przyjechali samochodami Piłsudski i Sosnkowski. Na spotkaniu był też dowódca miejscowego garnizonu płk Abraham.

W okolicy Lwowa walczyliśmy o następujące miejscowości: Sokolniki, Gliniany, Kurowice, następnie o Skałat, Tarnopol, Kopyczyńce, Trembowłę. W Zbarażu odpoczywaliśmy 2 tygodnie. Spaliśmy po stodółkach.

W sierpniu 1919 r. po zakończeniu walk z Ukraińcami, batalion

pod dowództwem kpt. Kubickiego /pochodził z Żywca/ skierowano w okolicę Zebrzydowic, gdzie miał być przeprowadzony remont sprzętu bojowego i ubrań, a zwłaszcza kucie koni. Trwało to prawie 2 miesiące.

W październiku ponowny załadunek do wagonów i odjazd do Wilna. Zatrzymaliśmy się na dłużej w Nowosiółce na granicy Białorusi i Litwy. Nie skierowano na kurs obsługi armat. Wprawdzie nie mieliśmy jeszcze tej broni, ale dowództwo przewidywało, że w niedługim czasie możemy tę broń zdobyć, a więc musi być zawczasu przygotowana obsługa. Po przeszkoleniu wróciłem do swojej kompanii Kł.

Wiosną 1920 r. otrzymaliśmy rozkaz wymarszu na Kijów. Po drodze walki o Lidę, Wołkowysk, Bobrujsk, Korostyń, a przed Kijowem o Białocerkiew. W okolicy Kijowa napotkaliśmy większe zgrupowanie wojsk radzieckich. cofnęliśmy się pod Lwów. Nasz batalion pod dowództwem kpt. Kubickiego znalazł się w okolicy Hikułowic, gdzie w tym czasie kwaterował sztab dywizji kawalerii bolszewików. Było to w nocy około 10 sierpnia. Całym batalionem uderzyliśmy na odpoczywających, niczego nie spodziewających się kawalerzystów. Uciekali w popłochu zostawiając nam kasę dywizyjną. Rozbita dywizja goniona przez nasz batalion, na taczankach z karabinami maszynowymi, uciekła aż pod Starokonstantynów w okolicy Kamieniec Podolski. Dowództwo wojsk radzieckich wyznaczyło nagrodę 120 tys. rubli w złocie dla tego, kto wyda im w ręce naszego dowódcę kpt. Kubickiego. Powiadomił nas o tym jeńiec z tej dywizji wzięty przez nas do niewoli.

W tym czasie główne siły pod dowództwem gen. Budionnego poniosły druzgocącą klęskę pod Warszawą.

Gdy walczące strony zawarła rozejm, wróciliśmy na nasze ziemie. Pociągłem, z całym sprzętem bojowym. Zakwaterowaliśmy w Wielkopolanca, której właścicielem był p. Wysocki.

W styczniu 1921 r. wyjechaliśmy na pogranicze polsko-niemieckie. Zostałem mianowany dowódcą placówki granicznej w Czelaździ. Mam do dyspozycji 60 żołnierzy.

Slazacy masowo przechodzą po kryjomu na naszą stronę. Uważają się do Sosnowca, gdzie przechodzą bojowe przeszkolenie, przygotowują się do trzeciego powstania śląskiego, którym dowodzi Korfanty. Żony Ślązaków też przekradają się na naszą stronę, niosąc swym mężom czystą bieliznę i wiadomości z zabru praskiego, potem wracają.

21 maja 1921 r. wybucha powstanie. Z mojej placówki nikt nie poszedł, ale z innych placówek dużo żołnierzy dołączyło do powstania. Po likwidacji powstania batalion nasz przeniesiono do Iodolsza koło Zatora nad Wisłą.

Dnia 8 czerwca 1921 r. Komisja kwalifikacyjna przy BOK X w Krakowie, której dowódcą był gen. Tadeusz Piskor, zakwalifikowała 10 żołnierzy z batalionu kpt. Kubickiego do otrzymania działek osadniczych na Kresach wschodnich. W PKU w Ładowicach dnia 23 VIII 1921 r. otrzymałem bezterminowy urlop i wraz z kolegami wyjeżdżamy do Rędziwiłkowa k. Brodów. Stamtąd udajemy się pieszo do miejscowości X Srybno koło Lubna, gdzie znajduje się dowództwo kolumny osadniczej. Dowódcą kolumny był por. Nalepa, pochodził ze Lwowa, a zaopatrzeniowcem był por. Nowosielski.

4 listopada 1921 r. otrzymujemy przydziały działek i z tą chwilą jesteśmy zdemobilizowani. Jeszcze przed zimą zdążyłem zasiać dwa hektary żyta. Ponieważ nie mieliśmy własnych domów ani zabudowań gospodarczych, mieszkaliśmy u okolicznych chłopów narodowości ukraińskiej.

Latem 1922 r. pojechałem do rodzinnej wioski, miałem tam upatrzoną dziewczynę, Marysię Iysoń, ożeniłem się i z jej ojcem i bratem wróciłem na swoją działkę do Poniatówki.

Srybno to stara wieś o ludności ukraińskiej zamieszkałej przy dworze, który był własnością p. Siemiątkowskiej z domu Łaskowskiej. Nasza Poniatówka była częścią ziemi dworskiej rozparcelowanej dla 24 rodzin byłych wojskowych. Z początku pod względem administracyjnym wchodziliśmy w skład Srybna. Dopiero w 1924 r. władze powiatowe

zarządziły utworzenie w Poniatówce odrębnej jednostki administracyjnej. Na sołtysa wybraliśmy najstarszego wiekiem wśród nas Karola Wiaśra. Przewodził nam przez trzy kadencje.

Do kościoła chodziliśmy do Radziwiłłowa, odległego o 11 km. Wprawdzie w Srybnie była cerkiew, ale tam uczęszczaliśmy wtedy gdy nas prosiła miejscowa ludność na wesela lub chrzty.

Z miejscową ludnością żyliśmy w jak najlepszej zgodzie. Ja sam trzymałem do chrztu dziecko Tarasiuka. Gdy nadeszły żniwa albo potem młocka, wtedy zatrudnialiśmy miejscową ludność do pomocy i płaciliśmy im za dniówkę po 3 zł., podczas gdy gdzie indziej płacili po 1 zł. Dlatego chętnie przychodzili do nas, gdyż jak wiadomo w tych czasach o zarobek było trudno. Do roku 1927 miałem młockarnię kieratową, a potem na silnik spalinowy do spółki z Duźniakiem. Ponieważ przy takiej młocarni potrzeba było do sprawnej obsługi więcej ludzi, dlatego płaciliśmy wygórowane dniówki, aby tylko na czas i za pogody zebrać z pola. Ludności nie trzeba było prosić do pracy gdyż sama zgłaszała się /zwłaszcza młodzież/ licząc na dobre zarobki. W pierwszym roku mego gospodarowania, gdy przyjechałem z rodzinnej wioski z żoną, zebraliśmy zasiane w jesieni żyto sami. Ja z ojcem kosiłem kosą a żona z bratem odbierali z pokosa. Żona od ojca dostała dość marek w posagu, bo takie wtedy były w Polsce pieniądze. Ojciec nie żałował, gdyż dość przywiózł z Ameryki. Ale niewiele za nie kupiliśmy, gdyż w niedługi czas była wymiana na złote, z wielką stratą dla nas. Zdążyliśmy zaledwie kupić dwa konie, wóz i drobny sprzęt gospodarczy. Natomiast takie narzędzia rolnicze jak plug, brony, obsypnik do ziemniaków, widły, kosa, nawet babka do klepania kosy, kilof otrzymaliśmy od państwa. Kilof okazał się bardzo przydatny, gdyż trzeba było kopać studnie nieraz do 8 metrów, aby dokopać się do obfitego źródła wody. Ja wprawdzie nie kopałem a wierciłem specjalnymi rurami, ale i na mojej działce nie płycej ukazała się woda. Z budynków gospodarczych najpierw postawiłem

stodołę, bo zboże trzeba chronić - będzie zboże - będzie chleb dla ludzi i zwierząt. Od państwa dostaliśmy budulec ze składnicy, która znajdowała się na stacji kolejowej Werba koło Radziwiłłowa. Otrzymałem 10 m³ ale obszarnicy podnieśli gwałt w Sejmie, że dzieje się im krzywda, dlatego za resztę budulca otrzymałem ekwiwalent w gotówce 610 zł. Kupiłem za te pieniądze kieratową młocarnię, siewczarnię, wialnię, i bukownik do konieszyny. Skoro mowa o konieszynie, muszę zaznaczyć, że nienawożone pole dawało u mnie do 300 kg nasienia a nawożone od 7 do 8 kwintali. Taka to była ziemia. Pomalu postawiłem oborę i dom mieszkalny. Osada polska Poniatówka rozbudowała się. Przy pomocy instruktora powiatowego z Dubna, Humeniuka założyłem kółko rolnicze z różnymi sekcjami jak : maszynowa, hodowlana i inne. Powiększyła się moja rodzina, mieliśmy dwóch synów. Do żony przyjechała jej ciotka, która była samotna. Dobrze nam się gospodarowało, gdyż ziemia była urodzajna a myśmy na gorszej przywykli do ciężkiej pracy na roli.

W roku 1938 w jedną niedzielę, gdy byliśmy w kościele w Radziwiłłowie, ksiądz po kazaniu zapowiedział, abyśmy po nabożeństwie nie rozchodzili się do domów, gdyż w mieście będzie zebranie w sprawie budowy pomnika na grobie pułkownika Wysockiego, uczestnika powstania styczniowego w 1863 roku, który przeszedł z Galicji tutaj pod zabór rodyjski wraz z oddziałem powstańczym i na tych ziemiach został zabity przez carskich żołdatów. W tłumie zgromadzonych ludzi zobaczyłem swego byłego dowódcę, kapitana Kubickiego, teraz w stopniu pułkownika. On mnie też poznał, zaprosił abym i ja podpisał akt erekcyjny, który został wmurowany w fundament pomnika. Dowiedziałem się, że jest pułkownikiem dyplomowanym i dowódcą garnizonu w Dubnie. Nie spodziewałem się tego spotkania, po prawie siedemnastu latach. Znajomi moi oglądali się na mnie i dziwowali się z jakiej racji ja w takiej komitywie z tak wysokim dygnitarzem.

W roku 1939, gdy hitlerowskie Niemcy napadły zdradziecko na nasz kraj, nas osadników polskich na wschodzie czekała nowa tułaczka i utrata dziewiętnastoletniego dorobku, zresztą nie tylko naszego, ale wielu tysięcy Polaków, a może i milionów.

Dnia 10 lutego 1940 r. świat się zapadł i powstał nowy, straszny, całkiem inny. Gdy obrócono w gruzy dom rodzinny, świat dziecienny. Światło latarki w okno, spiczaste czapki, łomot kolb w drzwi i słowa: "Otkroj!!! Zdies włast sowietskaja!"

Spaliśmy, było to w nocy z piątku na sobotę. W dzieży rozczyniono ciasto na chleb. Był taki zwyczaj, że zwykle w sobotę piekło się chleb na cały tydzień. Ten, który wszedł do izby, powiedział: "Macie dwadzieścia minut czasu na spakowanie się." A zwracając się do mnie: "A ty bierz piłę i siekierę, tam ci się przyda. Spieszcie się, bo na dworze czekają na was podwody!" Była mroźna noc, 27° C, śniegu na metr. Na drogę nie mamy chleba. Zona chwyciła garnek, w którym składała zbędny ser, zabrała go i ten ser uratował nas od śmierci głodowej.

W czasie tej koszmarnej, osiemnastu dni trwającej, podróży, tylko trzy razy otrzymaliśmy po 10 dkg kaszy kukurydzianej omaszczonej olejem rzepakowym na jedną osobę. Zostawiliśmy 16 sztuk bydła, dwa dobre konie, no i to wszystko, czym dobry rolnik posługuje się w swej pracy. Załadowali nas na dwie podwody, na jedną ludzi, a na drugą sprzęt różny schwyty w panice. Przed każdym domem osadników stały dwie podwody, tak że uformowano konwój składający się z 48 furmanek. Do stacji kolejowej w Michajłówce, na linii kolejowej Lwów-Równe, było 3 km. Przed załadunkiem do wagonów komendant konwoju odczytał nam werdykt takiej treści: "Za to, żeście eksploatowali robotniczy klas, który teraz może się na was mścić, my was ochraniaamy wywożąc do innej obłasti."

Ładowano po 50 osób do jednego wagonu bydłowego. Legowiska piętrowe. Pośrodku wagonu piecyk żelazny do ogrzewania, korytko z deszczulek do załatwiania potrzeb fizjologicznych wypuszczone na zewnątrz i to wszystko. W Zdobunowie przeładunek do wagonów szerotorowych. Zapas węgla do ogrzewania wagonu niewielki. Gdy go zabrakło, marzliśmy. Dopiero gdy dojechaliśmy do miasta Coriki, uzupełniono. Całą podróż od stacji Michałowa do stacji docelowej, którą była stacja w tajdze o nazwie Krzysztoforowo, przebyliśmy szczęśliwie. Kównono, że w innych transportach były wypadki śmiertelne, ale u nas nikt nie zmarł i nie umarł. Krzysztoforowo to specjalny przystanek dla lagru, bo tutaj żadnej stałej osady ludzkiej nie było. Znaleźliśmy się w Archangielskiej obłasci. W czasie drogi prowierka w wagonach co drugi dzień. Sprawdzają czy nie ma pobiegów. Tym samym pociągiem wywozoni byli osadnicy z powiatu Dubno, Krzemieniec, Brody, a także pracownicy leśni, żony oficerów w.F. i wielu innych.

W lagrze na dzień wcześniej znaleźli się górnicy z kopalni soli potasowych z Klausza, pracownicy zagłębia ropnego Borystawia i Drohobycza, a także pracownicy leśni tych okolic. Na miejscu przekonałem się, że piła i ciekiera bardzo mi się tutaj przydadzą. Od sprawności tych narzędzi, będzie zależał mój zarobek, a co za tym idzie życie moje i życie moich synów i niezbędnej do pracy fizycznej ciotki żony.

Praca w tajdze polegała na scinaniu drzewa, przeważnie szpilkowego i przygotowaniu xx do załadunku na wagony. Norma dzienna wynosiła 7 m³, gdy ją wyrubił, otrzymywał 8,5 rubla. wypłata odbywała się dwa razy w miesiącu. wszystko, co nam było potrzebne do życia, musieliśmy sobie kupować za zarobione pieniądze. W lagrowej stołówce porcja zupy kosztowała 1,63 rubla. Aby rano nie spóźnić się do pracy, jedna osoba z każdej rodziny zajmowała kolejkę ~~xxx~~

przed stołówką o 3 rano. Ponieważ trzeba było stać na dworze, musiało się zmieniać tego w kolejce, gdyż jeden na mrozie by nie wytrzymał do 5 rano, o której otwierano stołówkę. Kto nie pracował, nie otrzymywał talonów na zupę, otrzymywał sam chleb, 12 gkg na dobę, chleb żytni razowy. Jeden kilogram kosztował 1,05 rubla. Przydzielony chleb dla niepracujących opłacali ze swych zarobków pracujący. Zupę przyniesioną wlewało się do przegotowanej wody w baraku i tak omaszczoną wodą żywiliśmy się wszyscy. W tych warunkach żyjąc, zaczęliśmy szukać ratunku u tych, którzy pozostali w Polsce. Niektórzy z nas zwracali się o pomoc do rodzin ukraińskich. Ja korespondowałem z Aleksandrem Horpinym z Radziwiłłowa, który przysłał nam 2 paczki, w których był boczek, słonina, suszony makaron i cukier. W każdej paczce po 8 kilogramów. Korespondowałem ze Stefanem Matuszokiem ze Srybna, z tym, który odwoził nas do stacji kolejowej w Michajłówce. Jeden z Polaków, którego nie wywieźli, gdyż był mieszkańcem Wołynia od wielu pokoleń, jakimś sposobem dowiedział się, dokąd nas wywieźli i z własnej inicjatywy przysłał nam 150 rubli. Świadomość, że są jeszcze ludzie, którzy nam współczują, dodawała nam siły i wiary, że to, co nas spotkało, wkrótce minie. Że jakoś przetrwamy pomimo tych mrozów i tego nieludzkiego traktowania. Przepowiednia Wernyhory, którą kiedyś przepisałem z IKC i przywiozłem tutaj, krążyła wśród wygnańców i ona również decydowała o postawie wielu z nas.

Nareszcie minęła sroga zima, stopniały śniegi i lody. 6 Czerwca 1940 r. zjawił się w naszej brygadzie naczelnik Lestranschozu, lustrator naszej roboty. Jak każdy z nich rozpoczął lustrację pytaniem: "Kak dieła? Skolko normy pańczajetsia wasza wyrabotka?" Odpowiedział brygadzysta Jan Barszcz: "60 procent". "I was za taką wyrabotkę jeszcze nie pozamykali?" pyta lustrator. Kolega Bil-

szczał Mieczu Konkiewicz /z Radziwiłłowa/. W czasie lekcji nauczycielka narodowości ruskiej, Bukomska, pyta Mieczu: "Twoi rodzice wierujusczyje?" "Tak", odpowiada Mieczu. Nauczycielka: "Boha niet, jewo wydumali u was, w Polsce, tysiacz liet tomu nazad." Chłopak, co usłyszał w szkole, powtórzył matce w domu. A matka na to: "Powiedz jej, gdy będzie jeszcze tak mówić, że jest głupia." Na okazję Mietek nie musiał długo czekać, gdyż takiego nauczania wymagał od nauczyciela program materialistycznego wychowania. Gdy ponownie nauczycielka coś na ten temat wspomniała, Mieczu niezwłocznie zareagował mówiąc: "A moja mama mówiła, że pani jest głupia!" Tego samego dnia wieczorem, gdy tylko wróciliśmy z tajgi, zapowiedzieli nam zebranie. Naczelnik łagru Tochnakow tak przemówił: "Pomiędzy władzą radziecką a wami jest nieporozumienie. Nasi nauczyciele uczą wasze dzieci, a wy je w barakach oduczacie tego, co się w szkole nauczyły. A w pracy swoich obowiązków nie wykonujecie. Ja was prieduprieżdaju, nam sriedstw chwatajet i miest odosobnienia, ITL takoz." O głos poprosiła Jankowska: "A ile godzin w tygodniu będą uczyć nasze dzieci mowy polskiej?" Po namyśle Tochnakow tak odpowiedział: "Nikakowo nauczania na polskim jazykie nie budiet." Jankowska: "Poczomu?" "Potomu, czto Polszy bolszie nie budiet, tak nie nužno uczyć dietiej polskoj mowy." Na tym zebranie szybko zakończył i unikał dalszych pytań.

W lipcu, gdy już była wojna z Niemcami, przyszedł do naszej brygady ruski człowiek, obywatel radziecki, do ostrzenia narzędzi, którymi pracowaliśmy w lesie i mówi: "Ja będę ostrzył, a wam budiet pieriekur, oddychajcie." W tym czasie byłem już w innej brygadzie, której brygadzystą był Rybicki. Do tej brygady przeszedł wraz ze mną Drozd i Bilski. "Kakoj pieriekur? - odezwął się Bilski - U nas bumagi niet." Gdy to usłyszał Gomzikow

/bo tak nazywał się ostrzący/ wyjął z kieszeni gazetę, oderwał kawałek, podał Rybickiemu mówiąc: "Kuri!" Rybicki zanim zapalił, to najpierw dokumentnie przeczytał to, co znalazło się na oderwanym kawałku gazety. Gdy skończył, pyta Gomzikowa: "Ty czytałeś etu gazetę?" Gomzikow: "Czytałem. A szto ty wyczytałeś?" Rybicki zaczął czytać na głos: "Kak podaje agencja TASS, 6 VII 1941 r. przybyła do Moskwy angielska misja wojskowa." Gdy to usłyszałem, mówię: "Z tej maki upiecze się dla nas chleb!" Na to Drozd: "Ty zawsze chlapiesz jakieś głupstwo." "Głupstwo, powiadasz? To co powiedziałem zresztą nikogo do niczego nie zobowiązuje. Pożyjemy, zobaczymy." Wkrótce przekonał się i Drozd, że miałem rację.

Do łagru przyjechał oblasny komendant z Kirowa /dawniej Wiatka/, Briukow i oficjalnie zakomunikował o zawarciu porozumienia w Londynie pomiędzy polskim rządem emigracyjnym z gen. Sikorskim na czele, a ambasadorem ZSRR w Londynie, Majskin. Odczytanie treści tej umowy poprzedził komendant łagru Tochnakow takim wstępem: "Napewno zaciekawi was, dlaczego tyle naczałstwa zjechało na nasz posiołek? W czym dieło, rozkaże wam kapitan Briukow." Kapitan Briukow wyjął z teczki gazetę, położył na stole i zaczął: "Kak wam wsiem izwiestno, faszistowska Germania najpierw napadła na Polszu, a patom na Daniu, Norwegiu, Holandiu, Belgii, Anglii, Francji, Jugosławii, Grecji, a wreszcie zachciało się Gitlerowi skoczyć na ZSRR. Po tyłu sukcesach Gitler zaczął się przechwalać, że w dwie niedieli będzie na Kremlu. A ja wam skażu, iszczio dołgo jemu nie bywat w Moskwie! W związku z gitlerowską agrėsją na ZSRR prawicielstwo nasze zakliucziło dogowor z prawicielstwem Polshi na emigracji w Londynie. Wot takoj dogowor..." I zaczął czytać:

"1. Z Poleków znajdujących się na terytorium ZSRR będzie się organizować Armię Polską, której dowódcą będzie gen. Władysław Anders,

a szefem sztabu tej Armii będzie Bohusz-Szyszko.

2. Głównokomandujuszczym nad nimi będzie dowódca Krasnoj Armii.

3. Zawarte porozumienie pomiędzy ZSRR i Germanią z dnia 28 sierpnia 1939 r., dotyczące terytorialnych zmian Polski, nie istnieje.

4. Grażdanie polscy, którzy nie wejdą w skład Armii Polskiej, otrzymają pomoc materialną od rządu polskiego, na którą to pomoc rząd ZSRR udzielił kredytu w wysokości od 100 do 300 milionów rubli.

5. Co dotyczy spraw handlowych, kulturalnych, gospodarczych i oświatowych, to te sprawy będziemy realizować równolegle do realizacji spraw wymienionych w poprzednich punktach umowy.

Na podstawie tej umowy, od dnia dzisiejszego uważajcie się za wolnych obywateli Polski i możecie się poruszać po całym terytorium ZSRR."

I wtedy stała się rzecz niesłychana w łagrach sowieckich. Jak było nas Polaków na tym mitingu 450 rodzin, tak wszyscy zaśpiewaliśmy jak na komendę "Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy! Co nam obca przemoc wzięła, mocą odbierzemy." Wszyscy stoją na baczność, chociaż komendy nie było, nawet naczalstwo wstało i stoi na baczność. To odśpiewaniu hymnu kapitan Briukow pyta: "Woprosy kake u was budut?" Nastąpiła cisza, nikt się nie odzywa. Namyślają się, kto ma wystąpić i o co pytać. A są pomiędzy nami oficerowie rezerwy, leśnicy z wyższym wykształceniem, nikt nie odzywa się. Wtedy podniosłem rękę na znak, że chcę mówić. "W cziom dieło?", pyta kapitan. "Będę mówił po Polsku, czy będę zrozumiany?" Kapitan: "My siejczas dziełajem pierewod." "Proszę mi odpowiedzieć na dwa pytania: Pierwsze - gdzie znajduje się punkt zborny zgłaszających się do polskiej armii? Drugie - co od jutra począwszy będziemy robić?" Kapitan: "Ja jeszcze nie uspieł wam soobszczit, że od jutra będziemy wam wydawać "Amnestijne Udostowierienie", do którego każdy z was sobie wpisze miejscowość, do której chciałby wyje-

chać. Wydawać będziemy według alfabetu po to, aby był pariadok. Każdy, kto ma do 300 rubli zapłaty, po otrzymaniu Udostowierienia zgłosi się w kxxxxxx kantorze połączit razzciot. Po otrzymaniu razzciota powinien natychmiast wyjechać, tak jak dla niewo nie budiet snabzienia!"

Po otrzymaniu ww. dokumentu przekonaliśmy się, że nie musieliśmy, bo nie mogliśmy, już wpisać miejscowości, do której chcieliśmy wyjechać, gdyż była już wpisana przez same miejscowe władze, a mianowicie był to zalskij Rajon.

Od samego początku realizacji tej umowy polsko-radzieckiej napotykaliliśmy na najrozmaitsze przeszkody czynione nam ze strony miejscowych "kacyków". Na przykład na moje pytanie, gdzie jest punkt zborny organizującej się Armii Folskiej, kapitan Briukow w ogóle nie odpowiedział. A gdy zjawił się w naszej brygadzie gławouch Siemionow na kontrolę progulszczikow, tzn. spóźniałskich do roboty, /za 20 minut spóźnienia potrącano 25% zarobku przez pół roku/, brygadzysta Rybicki powiedział: "Niedoigo budiem u tiebie rabotat." Na to Siemionow: "A kuda ty pajdiesz?" "Fajdu w armiu." Siemionow: "W kakuju?" Rybicki: "W polską." Teraz Siemionow podszedł do Rybickiego, położył mu ręką na ramieniu i patrząc mu długo w oczy powiedział: "Ty podumaj, czto ty skazał! Słuczilos, czto my was priwiezli zdies, dali vam wozmożnost organizowatsia, połączajetie oriuzie i czto z etowo połączajetsia? Nadiełaliby, nadziełaliby wy nam etim oriżom kaszy, nadziełali!! Eto nikogda nie słuczitsia!" Na to kolega Strelan: "Wy czytali gazetetu?" Na to Siemionow: "Byt może, jakaś kategoria budiet amnestirowana, no nie wy! Wam nikakoj amnestii nie budiet. Wam nužno rabotat tagda budiet wam kuczszezit."

Aby dowiedzieć się, gdzie znajduje się punkt zborny ochotników

do wojska polskiego, musieliśmy wysłać swoich delegatów do Ambasady Polskiej w Lujbyszewie. Pojechał porucznik Ciecierski i wachmistrz Kurkowski. Ciecierski już nie powrócił do nas. Został zatrudniony w ambasadzie jako sekretarz. Kurkowski zawiadomił nas, że punkt taki znajduje się w Buzułuku. Jadąc z północy, tak jak my, do Buzułuku musimy przesiadać się na stacji kolejowej w Oranienburgu.

1 września wyjechało 20 rodzin. Były to rodziny tych, którzy nie mieli rozliczeń z kantora. My natomiast musieliśmy pozostać, gdyż bank nie chciał nam wypłacić twierdząc, że nie odstawiliśmy jeszcze drzewa do wagonów, a więc nie mamy rozliczenia. A miano nas rozliczyć nie tylko za wykonaną pracę, ale i za niewykorzystany urlop. Dopiero na interwencję brygadzysty Zygmunta Rybickiego /seniora, obecnie rektora uniwersytetu warszawskiego/ u prokuratora otrzymaliśmy zapłatę.

wyjazd z łagru natomiast ułatwił nam komendant rejonu walerian Zorin, przydzielając nam dreżynę, którą dojechalismy do Kirowa, razem dwie rodziny - 11 osób. W Kirowie zastaliśmy już masę Polaków z różnych kołchozów Archangielskiej obłasti. Tutaj organizowano transport kolejowy. Kolejarze mówili, że ten pociąg pojedzie do Krasnowodska przez Oranienburg, gdzie będziemy mieli przesiadkę chcąc się dostać do Buzułuku.

Gdy dojechalismy do Oranienburga, wszyscy Polacy wg. otrzymanej informacji wysiedli, a wtedy dopiero kolejarze z obsługi pociągu mówią: "w Buzułuku nie ma żadnego punktu zbornego ochotników do wojska. Wsiadajcie z powrotem do pociągu." Wsiadamy i jedziemy z tą myślą, że wysiadziemy w Krasnowodsku. I znowu niespodzianka: Gdy dojechalismy do stacji Kagan-Sahar w Uzbekistanie, kazali nam wszystkim Polakom wysiadać, a pociąg pojechał dalej. Przenocowalismy w miejscowym meczecie, w jakich warunkach nie

trzeba mówić, a rano wzywają nas do miejscowego biura, w którym otrzymaliśmy przydział do pracy w różnych kolchozach Uzbekistanu. Wiele rodzin, a między innymi i moja - składająca się z 5 osób, przydzielono do Bucharńskiej oblasti Baszkirskiego rajonu.

Od stacji Zagan-Sahar do stacji Karazi, gdzie mieliśmy dojechać, aby zgłosić się do pracy w przydzielonym nam kolchozie odległość 160 km. Z trudnieni zostaliśmy w sielskim powiecie Kamyazy w kolchozie im. Stalina, który odległy był od stacji kolejowej Karazi o 60 km.

w tym kolchozie przeżyliśmy tylko jeden koszarowy miesiąc. To wodę chodziliśmy 4 kilometry, i to trzeba było dołączyć do konwojenta prowadzącego osiołka obciążonego beczułkami na wodę. Kraj tu pustyński, żadnych punktów orientacyjnych, według których można by się kierować. Łatwo zatłubić i zagubić się w tej bezkresnej pustyni piaskowej. w kolchozie uprawiano głównie bawełnę. Zona moja pracowała przy zbieraniu, a ja oczyszczałem rowy nawadniające pola. Dla nas oddzielnych pomieszczeń nie było. Zajmowaliśmy kąt u miejscowych Uzbeków. w dni pracy spałem tam, gdzie mnie zastała noc. Kładliśmy się razem po trzech i swoimi ciałami oprzewaliśmy się, bo noce tutaj były chłodne. Na niedziele tylko przychodziliśmy do pomieszczeń, które zajmowały nasze rodziny. Nauczestku pracowało nas pięciu. Ze mną pracował mój starszy syn Władek, Brozd i jeszcze dwu. Raz dziennie dostawaliśmy lepioskę, tj. pszeniczny placek /jak nam smakował! / i rosół z baraniną mięsem. Tego mięsa było około 10 dkg. Był to przydział na całą dobę. Można było to wszystko od razu zjeść, ale kto przezorniejszy dzielił na dwa razy. Spaliśmy w własnej odzieży, w tym, w czym tutaj przyjechaliśmy, po prostu spaliliśmy pod gołym niebem.

Brozd wkrótce zachorował. Zdjęli go z pracy, gdyż niesamowicie bolało go gardło. Gdy leżał w lepiance kolchoznej, zachął się dusić. Zona jego, gdy przybiegła z pracy powiadomiona o tym, usłysza-

ła: "Będę żył, ja umieram! Nie mam czym oddychać! Duszę się!" Przeraził się i mówi: "Co ty, Pietrek! Jak to tak! To ty teraz chcesz mnie tutaj opuścić? A cóż ja sama bez ciebie poradzę?" Gdy Pietrkowi całkiem odjęło mowę, wtedy wystraszyli się i z całej siły zakaszlał. Nastąpiła niespodziewana ulga. W gardle wrzód pękł, do płuc dostało się powietrze. Pietrek przemówił: "Będę żył!"

Po upływie miesiąca otrzymaliśmy polecenie, aby zgłosić się w Baszkirze na rejestrację. Poszliśmy pieszo, a odległość wynosiła 40 km. Zaszedł nam późnym wieczorem do miejscowego czajhanu z myślą, że dostaniemy coś do zjedzenia. Niestety - dowiedzieliśmy się, że czajhan nie może nam nic sprzedać, gdyż nie ma dla nas przydziału. Głodni pokładaliśmy się tak, jak staliśmy, na podłodze czajhanu. Rano wzywano nas pojedynczo do biura rejestracyjnego. O jedzeniu, o jakimkolwiek posiłku dla nas nikt nie wspomniał. Kogo już przesłuchali, wypuszczają drugą stroną budynku, tak, aby z nami się nie kontaktował.

Gdy znalazłem się i ja w biurze, po zapisaniu moich danych personalnych żądali, abym wyjaśnił, dlaczego znalazłem się w ZSRR. Co dotycząc robienia i co zamierzam robić. Gdy odpowiedziałem na te pytania, wtedy usłyszałem: "A jaki jest twój stopień wojskowy?" "Podoficer", odpowiedziałem zgodnie z prawdą. "Wriosz!!", krzyknął przesłuchujący. Chciał we mnie wmówić, że jestem polski oficerem. Z kolei ja go pytam: "Po co wy tyle razy rejestrujecie?" Odpowiedź: "Był moe wy pajdiotie w Polsku Armii".

Po przesłuchaniu wracamy do kołchozu już drugi dzień bez żadnego posiłku. W kołchozowej stołówce też nie ma dla nas przydziału, bo nie pracowaliśmy. Żony podzieliły się z nami tym, co im przydzielono. Na drugi dzień kazali zgłosić się po razciot. Ja i Władek, mój syn, otrzymaliśmy razem 44 ruble i poinformowano nas, że jesteśmy przesiedleni do południowego Kazachstanu.

Do transportu naszego baracha otrzymaliśmy 14 wielbłądów i osiołka, a myśmy szli pieczo za karcwaną. Wielbłądy połączone były ze sobą uprzężą, od pyska do ogona, szły jeden za drugim gęściego, tak że tylko jeden przewodnik Uzbek był potrzebny. Sprowadził nas do stacji kolejowej Karzi, a potem wracał do kołchozu. Na stacji znaleźli się Polacy z całej Bucharskiej oblasti. Do transportu przygotowano 40 wagonów. Opuszczamy Uzbekistan.

Jazda trwała 5 dni. Wykadowano nas na stacji Uoz-Dużak, jeden przystanek przed Lzambułem. Ponieważ podwoły jeszcze po nas nie przyjechały, nocujemy w wagonach. I tutaj usłyszeliśmy z głośników radiowych umieszczonych na stacji taką wiadomość: Do Moskwy przybyła polska delegacja, z gen. Sikorskim na czele, w tym celu, aby sprawdzić, w jakim stopniu zrewansowana jest organizacja Armii Polskiej w ZSRR. Wiadomość ta bardzo podnieśli nas na duchu i ożywiła wiarę w jej powstanie, wbrew temu, co Rybickiemu chciał wzmóc ksiądzow Sienionow: "To nikogo nie obchodzi!"

Do kołchozu Ak-Timbe, do którego otrzymaliśmy przydział, było około 34 km. Zatrudniony zostałem przy kopaniu rowów irygacyjnych. Dzienna norma wynosiła 70 metrów długości, 50 centymetrów szerokości i 28 centymetrów głębokości. Pracę tę zacząłem w grudniu 1941 r. Za pracę wykonaną w normie otrzymywaliśmy 30 dkg kaszy kukurydzianej, którą musieliśmy sami gotować paląc kiziakami /wysuszony nawóz bydliący/. Spaliliśmy u miejscowych Kazachów, kołchoźników. Kobiety pracowały przy burakach i w ogrodnictwie. Siewy wiosenne zaczynało się już w lutym.

Z tego kołchozu 10 lutego 1942 r. poszło do Armii Polskiej 42 Polaków, a między nimi był mój syn Władek /obecnie w Anglii/. Punkt zborny mieli w miejscowości Czok-Tak.

Żona moja za swą pracę też otrzymywała 30 dkg kaszy. Kaszę naszą musieliśmy się dzielić z ciotką, staruszką i nieletnim synem.

Pomimo naszego poświęcenia i wyrzeczeń nie zdołaliśmy ich utrzymać przy życiu. Syn zmarł w szpitalu. Obydwoje pozostali na zawsze w obcej ziemi.

W nie lepszej sytuacji były rodziny polskie pracujące w innych kołchozach Dżambulskiej obłasti. W tej sytuacji zmuszeni byliśmy szukać ratunku w ambasadzie polskiej, która znajdowała się w Kujbyszewie. Pamiętając punkt czwarty umowy polsko-radzieckiej, w którym była mowa o pomocy materialnej dla tych Polaków, którzy nie wejdą w skład Armii Polskiej, przystąpiłem do układania pisma. Długo mozoliłem się, zanim ułożyłem treść naszej prośby. A trzeba było tak pisać, żeby Ambasador w Kujbyszewie nie pomyślał, że o nas nie troszczy się jego pełnomocnik w Michajłówce, p. Czarnowski /Michajłówka - nie mylić z Michajłówką na Wołyniu/. Kopię tej prośby zachowałem do dzisiaj, dlatego mogę ją przytoczyć w całości:

Do Ambasady Polskiej w Kujbyszewie

Obywatele polscy z kołchozu Ak-Tiube Swierdłowskiego rejonu, Dżambulskiej obłast, poczta Dżuna.

Pomoc materialna

My podpisani obywatele polscy, przymusowo wysiedleni z Polski, od 10.II.1940 r. zmuszeni zaszłymi wypadkami, odnosimy się bezpośrednio po raz pierwszy do Ambasady w sprawach od których załatwienia zależy nasze dalsze istnienie. Nie piszemy pośrednio przez rejonową placówkę jedynie dlatego, by nie zrozumiano nas źle, by nie myślano, że ją oskarżamy czy coś podobnego. Obecny mąż zaufania pan Czarnowski Jan interesuje się naszą dolą, styka się z nami na terenie kołchozu, interweniuje często w naszych sprawach u władz rejonowych czy kołchozowych, lecz te jego poczynania wbrew jego chęciom i zamiarom nie odnoszą zawsze skutku. Rozstrzygnięcie wielu spraw zależne jest od decyzji władz centralnych, z którymi może jedynie Ambasada Rz.P. bezpośrednio skutecznie konferować. I ten fakt jest przyczyną naszego bezpośredniego odnoszenia się do Amba-

sady Rz.P.

Nasz kołchoz składa się z 58 osób, stanowią one 22 rodziny, w tym jest 12 rodzin wojskowych. Rodziny nasze dały 42 ochotników do Armii Polskiej. Od 2 grudnia 1942 r. przeżywalismy to samo, co obywatele polscy innych kołchozów a przeżycia te choć w skrócie przytoczę:

1. Praca w warunkach nader przykrych bo bez odzieży i obuwia w zimie 1941-1942 przy głodowych stawkach płacy, w postaci ziarna po 500 gram dla pracującego.
2. To mieszkanie w kibitkach urągających najprymitywniejszym wymaganiom higienicznym.
3. To niemożliwość dania dzieciom naszym potrzebnego pokarmu w minimalnej ilości.
4. To życie dzieci, bez jakiegokolwiek duchowej strawy, jaką może dać szkoła. Moznaby dalej wyliczać ale teraz nie o to chodzi.

Przeszliśmy te czarne dni, z nadzieją na dobrą bo ciepłą wiosnę i lato, z nadzieją, że przyjdą takie dni, kiedy będziemy mogli taką samą a może mniejszą pracą, zarobić na utrzymanie niemogących pracować. Byliśmy cierpliwi do ostatnich granic, do takich na jakie zdobyć się może chłop polski. Przeszło lato, nadzieja prysła. Ludzie dobrze sytuowani /Żydzi przeważnie/ wywieźli swoich z rejonu. Zostali prawie tylko polscy osadnicy w ilości ponad 500 osób. Są to przeważnie rodziny wojskowych. O nas "Ktoś" zapomniał. Jeżeli dla sprawy Polski trzeba byśmy tu tkwili, narzekać nie będziemy, ale przed zbliżającą się zimą, o ile mamy zawieść do Ojczyzny nasze kości, musi bezwarunkowo Ambasada Rz.P. poświęcić pozostałym przy życiu, więcej uwagi.

Ostatni przydział obuwia i odzieży, dokonany w rejonie komisynie przy udziale polskich obywateli z kołchozów, wykluczył jakąkolwiek niesprawiedliwość. Komisja jak mówią jej członkowie, nie mogła powiększyć przydziału. Obecny stan jest taki, że co piąty bę-
dź

co siódmy obuty i ma czym okryć swoje ciało. I stan taki teraz, gdy 2.X.1942 r. woda w arikach pokryła się rankiem lodem. Co będzie później?

W rejonie zapowiedziano nam, że za pracę będą nam płacić pieniędzmi nie ziarnem. Odpadnie więc tych 500 gram dla pracującego i to w czasie gdy za 16 kg. /pud/ mąki trzeba zapłacić 700 rubli. Czy rejonowa placówka zawiadomiła Ambasadę Rz.P. o cenach produktów spożywczych? i czy pomyślał kto, jak będą żyć i co będą jeść niepracujący członkowie rodzin naszych? Tu już nawet nasz chłopski uóór nie poradzi! Myślimy, że konieczna jest wypłata zasiłku wojskowego za miesiące: VI, VII, VIII, IX i X 1942 r. wydatniejsza a nie 15 rublowa na miesiąc, pomoc pieniężna na dzieci i niemogących pracować. Bezapelacyjnie konieczny jest przydział ziarna, po cenach państwowych, byśmy je mogli kupić za otrzymany zasiłek pieniężny. Jeden czy dwa kg. mąki dane nam na placówce przez poprzedniego męża zaufania, na okres 6 miesięcy, nie może nas uchronić od głodowej śmierci. Kończymy licząc na pomyślne załatwienie poruszonych w piśmie spraw.

Ak-Tiube dnia 4 października 1942 r.

Józef Bizoń.

W jakiś czas po wysłaniu tej prośby udałem się do placówki w Michajłówce, aby dowiedzieć się, czy coś nie nadeszło. Pan Czarnowski oświadczył mi, że wie o tym, żeśmy pisali do ambasady, bo mu powiedział o tym prof. Obuchowski. Profesor zatrudniony był w rejonowym Wodnym Chaziajstwie i równocześnie pomagał społecznie w ambasadzie panu Czarnowskiemu. Pomoc otrzymaliśmy dopiero przed Bożym Narodzeniem, Była to pomoc jednorazowa, na którą składały się produkty żywnościowe i odzież. W naszym kołchozie było 5 rodzin żydowskich /nie bogaczy/, a mianowicie : Morgenrot, Winkler, Gottheiner, Feit i Marmur. Dla nich nawet otrzymaliśmy macę. O wysłaniu nam pomocy zawiadomiła nas ambasada telegraficznie, telegram był podpisany przez samego ambasadora, profesora Tadeusza Romera /obecnie w Montrealu/.

Rodzina Morgenrotta składała się z 4 osób. Rodzina...

stoku. Ojciec, po sześćdziesiątce, nie pracował w kołchozie. Rodzinę utrzymywał ze sprzedaży tytoniu. Liście kupował w Dżambule na bazarze /była wolna sprzedaż/, krajał i za szklankę takiego tytoniu otrzymywał od kołchoźników Kazachów 4 szklanki mąki kukurydzianej. Agrotechnikowi nie podobało się to. W roku 1943 podjechał furmanką, zabrał całą rodzinę, wywiózł w step jakich 18 km i pozostawił na bezludziu. Jakoś dobrnęli wszyscy do Dżambułu, ale wkrótce zmarła z głodu żona i córka. A ci Żydzi, którzy mieli złoto, wyjechali jeszcze wtedy, kiedy placówką w Michajłówce kierował mgr Łosowski, poprzednik pana Czarnowskiego. Dzięki płk. Drzewieckiemu, który pośredniczył pomiędzy NKWD w rejonie a Żydami prawdopodobnie wyjechało wtedy 340 rodzin do Iranu, z nimi wyjechał też płk. Drzewiecki /liczba mówi o wszystkich z całej obłasti/.

W kwietniu 1943 r. przewodniczący naszego kołchozu Szaten Bajew za niewykonanie kołchozowego planu produkcji został zdjęty ze stanowiska przewodniczącego i zasądzony na 10 lat Isprawitielnych Trudowych Łagierej. Kazaszki przez cały tydzień, gdy się to zdarzyło, zawodziły żałosne pienia i nie wyszły do roboty.

My, nieudziałowcy kołchozu, przez trzy miesiące począwszy od 7 IV 1943 r. do 5 VII nie otrzymaliśmy żadnego wyżywienia, a żywił się liśćmi lebiody i buraków. Kołchoźnicy byli w lepszym położeniu, o tyle, że mieli swoje przyzagrodowe działki, chowali krowy, więc im łatwiej było przeżyć ten okres. Dopiero pod koniec czerwca, gdy kombajny wymłóciły pszenicę, otrzymaliśmy po 5 kg. ziarna, które musieliśmy sami mleć na prymitywnych żarnach. Żarna te poruszało się nie okrągło, a w dwu kierunkach, co wymagało wielkiego wysiłku. Mąka sypała się przez dwa otwory umieszczone z prawa i z lewa. Gdy u mojej gospodyni przerobiłem je na obrót okrągły i zaczęła się sypać mąka przez jeden otwór, a do tego obrót wymagał teraz o wiele mniejszego wysiłku, wieść szybko rozeszła się po kołchozie budząc powszechny podziw.

Kołochoz nasz posiadał 3 i pół tysiąca hektarów ziemi, ale uprawiało się tylko 600 ha, bo tyle tylko można było nawodnić. Co roku nawadniało się inny obszar, a eszta leżała odłogiem. 3 lipca dali nam po 3 kg mąki pszennej z przemiału we własny m kołchoznym młynie i na tym koniec zaopatrzenia. Żywiliśmy się ziarnem z kłosów, które zbieraliśmy po krajach pól i rowów irygacyjnych, a na robotę musieliśmy wychodzić. Za niewykonanie planu w 1943 r. zarządzono:

Każdy członek kołchozu musiał podpisać zobowiązanie, że w 1944 odpracuje bezpłatnie tyle dniówek, aby wynagrodzenie za pracę pokryło koszt 800 kg pszenicy. Członków spółdzielni było 63, a więc do planu brakowało 50 i pół tony pszenicy.

Na miejsce Szaten-Bajewa przydzielono przedsiębiorcę z kołchozu w Budionnówce. Gdy ten wypędził nas do pracy. Jaskólski zapytał: "A snabżenie?" Otrzymał odpowiedź: "w kantorze." Do kantoru Jaskólski nie poszedł, a razem ze mną udał się do kołchozu Kumzota, gdzie był kierownikiem Koreańczyk Kasymow - bardzo dobry gospodarz. zażądał od nas rachotku z poprzedniego miejsca pracy, a myśmy takiego nie mieli. Po namyśle jednak powiedział: "Obejdzie się", gdyż oba kołchozy znajdują się w tym samym rejonie. Natychmiast dał woz i parę wołów na przewiezienie rzeczy i opuściliśmy kołchoz Ak-Tiube.

Za wozem podążało kolka rodzin polskich, a między innymi: moja, Jaskólskiego, Bojakowskiego, Drozdowa, Wolkowa, Dziurdowa, Wojakowskiego, wojtasa i Mikosia. U Koreańczyka dostawaliśmy 30 dkg kaszy kukurydzianej, a do tego różne frukta, jak pomidory, kawony, melony - tego nie brakowało.

W kołchozie Kumzota było 12 dzieci polskich, które oddaliśmy do internatu przy szkole zorganizowanej przez Związek Patriotów Polskich na placówce w Michajłówce. Nauczycielką była pani Łuka-

siewicz, a w internacie dziećmi opiekowała się pani Maria Drozd, ta, która opłakała swojego męża, kiedy zachorował na gardło. Pracując w kołchozie Kumzota angażowałem się również w pracy społecznej. Byłem przewodniczącym Koła Patriotów Polskich, w skład którego wchodziło 5 kołchozów.

W kwietniu 1943 r. zjawił się na placówce w Michajłowie przedstawiciel NKWD z Dżambułu i zaproponował nam przyjęcie paszportów radzieckich, co było równoznaczne z przyjęciem obywatelstwa radzieckiego. Czarnowski i Obuchowski odmówili przyjęcia. Wtedy odebrano im klucze od placówki, a nie rozdzielona jeszcze w całości nadesłana przez ambasadę pomoc przepadła. Zamknęli ich w ciasnym pomieszczeniu, gdzie zgromadzili już z półtorej setki opornych. Obuchowski jednak po dwóch dniach namyslił się i poprosił o paszport. Wtedy usłyszał: "Nie dostaniesz! Kiedy myśmy proponowali, nie chciałeś, teraz my nie chcemy." Była jednak to tylko gra na zwłokę i na psychikę, gdyż po upływie paru dni nie tylko prof. Obuchowski, ale również wszyscy oporni otrzymali paszporty. Jednocześnie odebrano wszystkim Amnestyjne Udostowierenie.

Franu Wilk miał 17 lat. Pozostał w kołchozie z matką, gdyż ojciec zmarł. Udwoził do Dżambułu kołchozowe mleko. Jednego dnia przywiózł nam do kołchozu taką wiadomość: "W Dżambule Polacy mi powiedzieli, że wychodząca w Alma-Acie gazeta "Kazachstańska Prawda" opublikowała, że Rząd Polski na emigracji uwierzył Goebbelsowskiej propagandzie, jakoby wymordowanie 11 tys. polskich oficerów dokonało sowieckie NKWD. Ponieważ na tej podstawie zwrócił się do międzynarodowego Czerwonego Krzyża i zażądał wysłania komisji celem ustalenia winnych mordu, Stalin poczuł się tym obrażony i zerwał stosunki dyplomatyczne. Sowieckie Ministerstwo

Spraw Zagranicznych powiadomiło polskie MSZ w Londynie, że uchwała z dnia 29 XI 1939 r. obowiązuje Polaków znajdujących się na terenie ZSRR. Znaczy to, że są obywatelami sowieckimi. Poprzednio wydane Udostowierienia Amnestyjne są nieważne. Gdy ta wiadomość do nas dotarła, wtedy już wszyscy zmuszeni byliśmy przyjąć paszporty.

Wśród masy wywiezionych znaleźli się jednak oporni. Za chwilę dowiemy się o nich od Brzeka Kazimierza. Jednego dnia przysiadł się on na podwoje Frania Wilka odwożącego mleko do Dżambułu, aby na bazarze kupić liści tytoniowych. Przepustki nie miał, bo nie zwolnił się z pracy. Przed wyjazdem do miasta został zatrzymany przez NKWD. Zaprowadzili go do biura, gdzie była już zgromadzona spora grupa Polaków pochodzących z różnych kolchozów całej obłasti. Byli to właśnie tacy ludzie, którzy bali się utraty Amnestyjnych Udostowierieniej. Byli przekonani, że gdy przyjmą paszport radziecki, to już nigdy nie wrócą do Polski. Ktoś im poradził /nie wiadomo, kto/, aby żądali paszportów "bezgraždanskich". Przed biurem zjawił się milicjant i oświadczył, że zaprowadzi ich tam, gdzie wydają takie paszporty. Przed tym drugim biurem wyszedł do nich naczelnik biura, spisał nazwiska wszystkich zgromadzonych i kazał zaczekać na rezultat. Za jakiś czas zjawił się jeszcze inny funkcjonariusz NKWD i zaprowadził ich na stację kolejową, gdzie były już dla nich przygotowane 3 wagony towarowe. Załadowali po 50 osób do wagonu, na drogę dali po jednym bochenku chleba na trzech i wywieźli do Irkucka. Potraktowano ich jako takich, którzy proszą o azyl. W tym rejonie, gdzie znalazł się Brzek, było takich około półtora tysiąca. Po sześciu miesiącach pobytu w Irkuckim Brzek otrzymał od lekarza chwilowe zdrowotne zwolnienie z pracy. Natychmiast skorzystał z okazji i uciekł. Przyjechał z powrotem do kolchozu Kupżota, bo tutaj pozostała jego żona.

Ja w tym czasie, gdy on się zjawił, zajmowałem na skraju osiedla izbę, którą sam wymurowałem z cegły po rozwalonych zabudowaniach gospodarskich, leżących jeszcze od czasów rewolucji. Od niego dowiedziałem się o losie tych opornych Polaków. Na drugi dzień znowu poszedł po tytoń do Dżambułu, taki był namiętny palacz. I znowu został zatrzymany przez NKWD, bo przecież nie zdażył nawet zarejestrować się do pracy. Tym razem wywieźli go do Ałma-Aty. Stamtąd już nie uciekał, dobrze mu tam było. Wkrótce przysłał dla żony wyzew i zabrał ją do siebie. Po jakimś czasie oboje napisali do mnie list. Przez dłuższy czas korespondowaliśmy ze sobą. W ostatnim liście, który otrzymaliśmy od nich z Ałma-Aty, z datą 15 II 1946 pisali:

"Serdecznie dziękujemy za pamięć. Cieszymy się, że Państwo i pani Bojakowska jakos trzymają się w zdrowiu. Ale bardzo nas zasmuciła wiadomość o śmierci ś.p. p. Jaskólskiego. Żałujemy bardzo i współczujemy pani Jaskólskiej, której proszę oświadczyć od nas wyrazy głębokiego współczucia. O ś.p. Jaskólskim żywimy najlepszą pamięć, bo był on uosobieniem dobrego przyjaciela i gorąco kochającego Ojczyznę patrioty prawdziwego Polaka. Mamy nadzieję, że po przyjeździe do Polski nie zapomni o losie p. Jaskólskiej nasz Rząd i pomoże Jej w zagospodarowaniu w naszej Ojczyźnie.

Do wyjazdu liczymy już dni. Z Ałma-Aty ma wyjechać eszelon składający się z 60 wagonów, prawdopodobnie 20 marca."

Z dalszej treści listu przebija troska o los pozostawionych w kołchozie Kum-Żota rodzin polskich, co świadczy o wielkiej soliderności tych ludzi, których tak boleśnie doświadczył los.

W "Nowych Widnokręgach" redagowanych przez Alfreda Lampe i Wasilewskiego, wyczytaliśmy, że z Dżambułu będzie transport Polaków w grudniu 1945 r. Ale wkrótce wyjaśnił nam prof. Obuchowski,

że Osóbka-Morawski powiadomił Moskwę, aby wstrzymać wyjazd Polaków na 6 miesięcy, gdyż na ziemiach Odzyskanych, gdzie mają się osiedlić, wojna poczyniła wielkie spustoszenia, domy ponieszczone bez okien i drzwi, a czas jeszcze niepokojny. Wiadomość ta została przyjęta przez ogół wygnańców niecierpliwie czekających na powrót, a doświadczonych tylu wykrętnymi informacjami, jako jeszcze jedna zdrada. Powstał w kołchozie kum-zota płacz i narzekania: "Znowu nas zostawiają!"

Nareszcie i my doczekaliśmy się tej radosnej chwili. Zegnali nas w obłastnym MTS /Maszynno Traktornaja Stancja/ główny księgowy kołchozów Dżambulskiej obłasti p. węgierski i prezydent naszego kołchozu koreańczyk Kesyrow. Pan węgierski to syn powstańca z 1863 r. Gdy na pożegnanie całował mnie, powiedział: "A gdy będziecie już w Polsce, to wspomnijcie tam czasem o takich jak ja." Jak wyglądało pożegnalne przyjęcie: Rozumie się, że bez wódki nie mogło się obejść, a że na przekąskę nie było nic innego, wystarczyła cebula.

Na odjazd czekaliśmy trzy dni. Dopiero 15 maja 1946 r. o godz. 6⁰⁰ w nocy opuszczamy Dżambuł. Na podróż, która trwała cały miesiąc, zaopatrzone nas w 1 kg owczej ~~kości~~ brandy i 2 kg kaszy kukurydzianej na osobę. W czasie drogi trzykrotnie na stacjach kolejowych otrzymaliśmy po 10 dkg gotowanej tej samej kaszy, okraszonej olejem bawełnianym.

Dnia 15 czerwca 1946 r. znaleźliśmy się na folnym Ślącku, na stacji kolejowej Jawor. Czasowo zakwaterowano nas w domu PUR.

według relacji Józefa Bizonis opisał Edward Polak. 1982 r.